WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV | POZNAŃ STYCZEŃ 1934 | NR. 1 (28)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI | Redaktor: MARJAN TURWID

Stanisław Zgaiński: Dzwonnica z pod Szamotuł (drzeworyt orygin.)

Z MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY DRZEWORYTU W INSTYTUCIE PROPAGANDY SZTUKI w WARSZAWIE

WSPÓŁTWÓRCY TRZECIEGO ROCZNIKA

Na rocznik trzeci „Wici Wielkopolskich" złożyły się prace następujących Autorów:

BąkaWojciecha — Poznań. Beilmannówny-Poczobuttowej Zofji — Grodno. Birkenmajera Józefa — Warszawa. Brzeskiej Wandy — Poznań. Czernika Stanisława — Ostrzeszów. Deresiewicza Janusza — Poznań. Dereżyńskiego Mieczysława — Inowrocław. Dostatniego Jerzego — Poznań. Dytkiewicza Adama — Katowice. Grotta Franciszka — Poznań. Hanyża Andrzeja — Szamotuły. Helsztyńskiego Stanisława — Warszawa. Jesionowskiego Alfreda — Mikołów. Jarockiego Władysława — Kraków. Kadjasza Stefana — Kępno. Koehlerówny Anieli — Poznań. Kołomłockiego Władysława — Gostyń. Kuminka Henryka — Bydgoszcz. Marcinkowskiej Barbary — Strzałkowo. Maciejewskiego Bogdana — Trzemeszno. Morskiego Eugenjusza — Poznań. Piechockiego Jana — Bydgoszcz. Pietrykowskiego Tadeusza — Toruń. PomykajaStanisława — Środa. Prądzyńskiego Edwarda — Poznań. Pawlaka Felicjana — Inowrocław. Pospieszalskiego Antoniego — Giecz. Szyperskiego Alfonsa — Środa. Szpunara Juljana — Leszno. Swinarskiego Artura-Marji — Poznań. Świeżyńskiego Ryszarda — Szamotuły. Stasiewskiego Juljana — Poznań. Szczebrzyca Bronisława — Pleszew. Sztaudyngera Jana — Poznań. Tałuny Teodora — Wrześnią. Tomaszewskiego Adama — Poznań. Turkowskiego Leonarda — Poznań. Witkowskiego Leona — Poznań. Wojtkowskiego Andrzeja — Poznań. Wojcieszaka Stefana — Krotoszyn. Wojciechowskiego Jakóba — Barcin. Witt Te Edwina — Poznań. Zalewskiego Zygmunta — Poznań. Zakrzewskiego Zdzisława ks. — Dolsk. Znanieckiego Juljusza — Poznań.

Plastyków:

Bartla Bronisława — Poznań. Brzęczkowskiego Stanisława — Gdańsk. Chmury Piotra — Bydgoszcz. Faczyńskiego Marjana — Bydgoszcz. Gajewskiego Franciszka — Bydgoszcz. Jarockiego Władysława — Kraków. Kluski Józefa — Wąbrzeźno. Krassowskiego Feliksa — Bydgoszcz. Lewandowskiego Lucjana — Września. Mrozińskiego Jana — Poznań. Smuczyńskiego Henryka — Poznań. Trieblera Piotra — Bydgoszcz. Zgaińskiego Stanisława — Szamotuły.

Wszyskim wymienionym za Ich cenną a zupełnie bezinteresowną współpracę — składa wyrazy głębokiej wdzięczności

Redakcja Wici Wielkop.

„WIĘCEJ POLSKI!"

Niedawno temu, — w rozmowie — rzucił mi Adam Grzymała-Siedlecki następujące zdanie:

— „Już ostatni czas, aby w literaturze polskiej było mniej Warszawy a więcej Polski". —

Przestroga znakomitego pisarza nasunęła się żywo mej pamięci w chwili, kiedy artykułem niniejszym zaczynam Czwarty Rocznik Wici Wielkopolskich.

Tłumaczy ona bowiem w sposób niezwykle prosty i jasny potrzebę i kierunek naszego wysiłku.

Naszego — oraz wszystkich tych, którzy przez pracę kulturalną w swych regjonach dążą do bogacenia i ożywiania kultury ogólnopolskiej.

Kto inny i na innem miejscu zestawi kiedyś rezultaty pracy kulturalnej osiągnięte w poszczególnych regjonach. Okaże się wówczas ponad wszelką wątpliwość do jakiego stopnia rezultaty te wpłynęły na wzbogacenie się i rozszerzenie artystycznego stanu posiadania w Polsce.

Kto inny, powtarzam, weźmie na siebie trud sporządzenia bilansu, bilansu zysków i strat tak naszych, jak i — pokrewnych nam wysiłkiem warsztatów.

Bo choć warsztaty te, — śląskie, — pomorskie, — krakowskie, — lubelskie i wszystkie inne wyglądają na pozór tak różnorodnie, to przecież cel pracy w nich jest jeden i ten sam:

— „Więcej Polski!"

Ani celu ani programu pracy nikt nie narzucał. Regjony pracują zupełnie indywidualnie. A przecież jest w tej robocie zastanawiająca organizacja.

Wszelkie próby formalnego ujęcia z zewnątrz organizacji tejże i zszeregowania jej pracowników zawiodły jednak zupełnie.

Eksperyment „WiadomościLiter.", które w swoim czasie zamierzały wprowadzić „Kolumnę Regjonalną" zawiódł zupełnie. Fakt to bardzo charakterystyczny i pouczający.

A wniosek taki:

— Jeśli regjony pracować mają owocnie, — muszą działać samoistnie.

A dalszy:

— W interesie kultury polskiej leży, aby wszystkie regjony polskie pracowały jaknajowocniej.

Jak pracuje regjon wielkopolski?

— „Wici Wielkopolskie stanowią najpoważniejszą placówkę wielkopolskiej pracy regjonalnej. Zaczynają one w tej chwili 4-ty rok swego istnienia.

To — co osiągnęły dotąd — to bardzo wiele — w stosunku do skromnych możliwości pisma i do fatalnych warunków z jakimi, w chwili obecnej, walczyć muszą wszelkie przedsięwzięcia kulturalne.

To, co osiągnęły dotąd — to bardzo mało — w stosunku do wymagań, jakie stawiają sobie wydawca redakcja i grono stałych współpracowników.

Dotychczasowa, trzyletnia praca „Wici" była niczem więcej, jak uporaniem się ze żmudną robotą u podstaw.

Musielibyśmy więc punkt jej ciężkości przesunąć na zagadnienia wielkopolskiego „wczoraj" i na pozałatwianie zaległości.

Obecnie, w obliczu nowego, czwartego roku pracy — jakież chcemy wypełnić zadania?

W odpowiedzi, — trzebaby zagrać fanfarę i wywiesić sztandary...

...Fanfarę szumnych frazesów pod efektownie rozwiniętym sztandarem programu...

Nie mamy jednak na to ani czasu ani ochoty.

Nie przykładamy żadnej wagi do pięknie brzmiących haseł wypisywanych na transparentach autoreklamy.

Więc zamiast napuszonego manifestu, napiszmy tylko kilka zdań o najbliższych zamierzeniach redakcji.

Coraz częściej do teki redakcyjnej napływają utwory o charakterze żywej, oryginalnej twórczości.

Nie usprawiedliwiając regjonalizmem lokalnego niedołęstwa, możemy tu z radością stwierdzić, że większość nadsyłanych nam prac zasługuje w zupełności na opublikowanie jej drukiem. Niestety — szczupłe ramy „Wici" nie pozwalają na ogłaszanie utworów dłuższych.

Niemniej — poświęcając rocznik bieżący przedewszystkiem twórczości oryginalnej — będziemy drukować chociażby tylko fragmenty większych utworów.

Wszelkie bowiem próby, aby ramy pisma rozszerzyć — rozbiły się o obojętność szerekich kół naszego społeczeństwa.

Znaleźliśmy przyjaciół, — całą gromadkę oddanych, serdecznych zwolenników — ale gromadkę tylko.

Ani liczba ich, ani nasze zasoby nie wystarczają, aby dać „Wiciom" taki kształt, któryby mógł bez reszty zamknąć w sobie coraz bogatszą i wartościowszą treść.

I dlatego apelujemy tutaj w pierwszym rzędzie do przedstawicieli naszej inteligencji.

Od nich przecież mamy prawo domagać się jaknajgorętszego poparcia.

Chyba, — że prawdą jest, iż — inteligencja u nas, po za bardzo nielicznemi wyjątkami, nie dorosła kulturalnie do zajmowanych stanowisk. Nie dajemy temu przypuszczeniu wiary, jak również ani na chwilę nie możemy w to uwierzyć, by społeczeństwo wielkopolskie pozwoliło upaść „Wiciom Wielkopolskim".

Ze swej strony zapewniamy, iż w najskromniejszej choćby formie, walczyć będziemy do ostatka o nasz odrębny i niezależny wyraz artystyczny w obrębie kultury polskiej.

Ta tylko bowiem droga prowadzi do pomnażania polskiego kulturalnego stanu posiadania.

A już naprawdę ostatni czas, aby w literaturze polskiej mniej było importowanej tandety a — więcej Polski.

Marjan Turwid.

STANISŁAW CZERNIK:

PRZYJAŹŃ Z ZIEMIĄ

(Poezje wyjęte z nowego Tomu Bibljoteki Wici Wielkopolskich)

MIT

Wreszcie schwyciłem istotny mój mit
W sieć długo wiązanych przeczuć:
Ptak —
Dwoje skrzydeł żelaznych kołysze:
Jednem zaczyna się świt,
Drugiem kończy się wieczór.

W wieków wdzierając się ciszę,
W twardą, kamienną glebę,
Codziennie gryzie swój szlak
Żelaznym i drewnianym spokojem.

Więc wchodzę — w Ciebie!
W brózdy odwiecznym orane znojem,
W upartych pełzań skiby,
W umęczeń spocone południa.

I wiem już: rycerski miecz
W okręgu polnej sadyby
Wspomnieniem mi pracy nie utrudnia.
Odkryłem: w tobie krew, sok, mlecz,
Początek najlepszych wyrazów,
Koniec najcięższego długu, —
Protoplasto z drewna i żelaza.
Ojcze Pługu!

POLE BURACZANE

Schylony prostokąt
Wyrywał się z ram,
Górą wpadał w bór,
Dołem biegł do łąk.

Tak się ułożył jednej wiosny wzór:
Gdzieś w radlankach tkwiły drobne kiełki,
Ale szumiał, kołysał się żyta łan,
Mój ocean spokojny i wielki.
Bór. Pole. Łąka zwrócona ku rzece,
Zielona i ukwiecona,
Jak życie roślinno-człowiecze.

Słońcem po niebie biegnie koło pór.
I przyszło wielkie i spokojne rżysko,
A tylko obok zielony Atlantyk,
Łan buraczany,
Szumiał, jak bliski bór.

Był taki dzień:
Chłopcy pasący krowy,
I pieczony w pastuszem ognisku
Słodki burak cukrowy.

KOPANIE ZIEMNIAKÓW

Wstępna muzyka, jak przed bitwą wielką:
Skrzypi, dzwoni drapieżnie i twardo
Mokrą osełką ostrzona motyka.
Początek walki. Ostra awangarda
Głęboko wpadnie w obrosłe radlonki,
Jak skrzywione, do łyżek podobne pociski,
By wyrzucić pod nogi rozprysłe wśród piasku
Wilgotne kule.
Rytm. Znowu wznoszą się drapieżne łyżki
Do góry, by wykąpać się w blasku
I świdrem słońca zaryć się w zagony.
I znowu rozerwana żyła ziemniaczana.
Różowawe i białe, podłużne, okrągłe,
Nowy świat wielkich przeżyć znajdują w opałce.
Tylko jeden w tej walce dziko skaleczony
Niechętnie wchodzi w rękę, wilżąc palców bąble.

MĘCZEŃSTWO

Rozwarcie rąk:
Długie i cienkie palce
Rzucone w nieskończoność,
Jak szyny kolejowego toru.
Twarz — wbita w ziemię,
Scaleniem z ziemią zmiażdżona.
Usta — pełne pijawek —
Wessały się w muł podskórnej gleby.
Nozdrza sięgają do źródeł,
Do potu dyszącej ziemi.
Oczy wwiercają się w żwir,
Jak świdry,
Powoli i uparcie tęskniące do głębi.
Głowa — zaryta w namule i piasku,
I ręce —
O długich, cienkich, biegnących
w nieskończoność palcach.

ZWIDZENIE

Idzie droga:
Z miasteczka popod górę
Szosa szeroka.

Pierwsze zwidzenie:
Anioły jasnopióre
Tłukły wątłemi rękami kamienie.
Jakaż biała a ostra, spokojna a piękna praca!

I zakończenie:
Ranek powracał
Przez całonocne aniołów milczenie,
Jak przez łąkę jaskrami kamiennych uderzeń pochyłą
Ostatni, chłodny letni ranek.
Słońce powstało czekane —
I ani drogi ani aniołów nie było.

DWA POBYTY JANA KASPROWICZA W SZYMBORZU (1920, 1921)

Pietyzm dla wielkich twórców wielkopolskich każe nam zbierać nawet drobne ziarna, mogące utrwalić szczegóły biograficzne lub rzucić nieco światła na myśli, któremi się w życiu kierowali. O ile idzie o Jana Kasprowicza, ważnem jest podkreślenie związków, które go z wsią rodzinną i familją na Kujawach łączyły. Nie od rzeczy byłoby ustalenie chronologji jego wizyt do Szymborza, zanotowanie spotkań z miejscowem społeczeństwem, odszukanie oddźwięków krajobrazu w twórczości poety, a nawet zdanie sobie sprawy, jakim był autor „Hymnów" i Rektor magnificus na gruncie swojej wsi i swojego miasteczka powiatowego.

Dwa listy poniższe, szczęśliwym trafem w rękach p. Henryka Lisieckiego w Inowrocławiu dochowane, malują nam dwa takie przyjazdy poety do swoich. List pierwszy skierowany jest do młodszej siostry poety, Franciszki Antczakowej, ur. 28. 1869, zmarłej 12. kwietnia 1926. Idzie o ślub córki jej, Władysławy, która wychodziła za mąż za Władysława Staszewskiego, urzędnika kolejowego. Stryj umawia się o dokładny termin obrzędu, proponuje 11. stycznia, na który się zgodzono. Istotnie na ślubie Jan Kasprowicz był obecny. Towarzyszył młodej parze w drodze do kościoła inowrocławskiego, św. Mikołaja. Będąc w świetnym humorze kazał w czasie oczepin śpiewać sąsiadce Żywicowej pieśni ludowe, które sobie notował. Chciał, ażeby cała uroczystość weselna była nawskroś ludowa, wiejska. Szczegóły te zapamiętał i podał autorowi niniejszych uwag bratanek poety, Józef Kasprowicz jr.

List drugi napisał poeta do brata Władzi, Stanisława Antczaka, dziś ogrodnika w Rąbinku pod Inowrocławiem. Chciał przeprowadzić kurację w solankach inowrocławskich. Zamierzał w tym celu zamieszkać u siostry, Antczakowej w Szymborzu, w domu przylegającym o miedzę do starego domostwa, w którym poeta przyszedł na świat. Przed przyjazdem uznał za konieczne przeprowadz. szeregu ulepszeń w mieszkaniu, ogródku i nawet podwórzu, posuwając drakońskość wymagań higjenicznych do zbudowania nowego W. C. Plan tylko częściowo wykonany został. Poeta przyjechał w czerwcu 1921, przebywał w mieście i w Szymborzu około dwóch tygodni, ale kuracji nie przeprowadzał. Związana z urządzeniem pokoiku naprawa domu i wybicie okna nie doszła do skutku. Pokoik bez przerwy zamieszkiwał do roku 1932 Jan Dybała. W ojczystym domu nowym, na którym dziś mieści się tablica pamiątkawa, Jan Kasprowicz nie mieszkał nigdy, gdyż postawili go Roliradowie w r. 1925, a ostatni pobyt poety w Szymborzu przypada na rok 1923 czy 1924.

Warszawa, październik 1933.

Stanisław Helsztyński.

* * *

I.

Lwów 30 grudnia 920

KOCHANA SIOSTRO!

Nie odpisywałem Ci na list twój, bo nie byłem pewny, kiedy będę mógł przyjechać na ślub Władki — tyle miałem najrozmaitszych zajęć i przeróżnych interesów. — Na ślub przyjadę, ale niestety sam, boć z rodziną niepodobieństwo. Córki obie zamężne ruszyć się nie mogą, przytem koszta podróży zbyt wielkie w naszych ciężkich czasach. Z żoną obiecujemy odwiedzić Szymborze na lato, teraz niepodobieństwo z rozmaitych względów.

Plan mój przeniesienia się na uniwersytet poznański nie doszedł do skutku, Lwów puścić mnie od siebie nie chce i wczoraj, w czwartek 30 bm uchwaliła Rada miejska dać mi piękny plac, prześlicznie położony i postarać się o wybudowanie mi wygodnego domu, abym spokojnie mógł pracować do końca życia. Jest to dowód, że Lwowowi zależy na tem, abym stąd się nie ruszał. Jestem mu wdzięczny za to.

A teraz powracam do sprawy ślubu: zaczynamy wykłady na uniwersytecie tutejszym w przyszłym tygodniu, urlop mogę dostać na jakiś tydzień nie więcej, zaś 17. stycznia muszę być na bardzo ważnem dla mnie posiedzeniu w Warszawie. W Szymborzu chciałbym zostać 2 lub 3 dni. Wobec tego byłoby dla mnie najwygodniej, gdyby ślub odbył się 11 lub 12 bm. Jadę na Poznań, bo teraz można (przez Szląsk), tak że będę w Inowrocławiu najpóźniej w poniedziałek 10. W każdym razie zatelegrafuję którego dnia i o której godzinie — możeby wtedy kto zjawił się na dworcu, przypuszczam, że Staś — chciałbym się dowiedzieć, gdzie mam zamieszkać — może w hotelu, w mieście, bo pewnie izba w Szymborzu, w której ostatnim razem u was nocowałem, będzie wam potrzebna na wesele.

A zatem do widzenia mniej więcej za tydzień. Serdecznie wszystkich pozdrawiam. Żona i rodzina cała składa już dzisiaj życzenia.

Jan.

II.

Lwów 14 maja 921 r.

KOCHANY STASIU.

Jeździłem dwoma zawrotami do Warszawy w rozmaitych sprawach — zabrało mi to prawie miesiąc czasu i dla tego tak późno Ci odpisuję. Wykosztowałem się dużo i stąd na razie nie mogłem posłać matce pieniędzy na reparację domu. Uczynię to jednak po odpowiedzi Twojej na ten mój list dzisiejszy. Udaję się do Ciebie z interesami, bo wiem, że Ty je załatwisz najlepiej. Mam zamiar zjechać na lipiec conajmniej do Inowrocławia, aby wziąć odpowiednią ilość kąpieli solnych na katar gardła i bronchit, który mnie ciągle męczy a przy niebardzo już silnem sercu z powodu przed dwoma laty hiszpanki, może mi skrócić życie, którego mi jeszcze na jakiś czas potrzeba. Zamieszkam w Szymborzu. Otóż zarządź w domu co następuje: poza naprawą dachu, porządnem ogrodzeniem i wyczyszczeniem ogródka, trzeba mi odstąpić pokoik od południa, bo w tym, w którym dotąd podczas ostatnich moich dwóch pobytów sypiałem, jest wilgoć, a wilgoć na dobre nikomu, a tem bardziej mnie, wyjść nie może. Przykro mi, że trzeba będzie rugować naszych krewnych, Dybałów, ale cóż robić, kiedy inaczej nie można. Pokoik należy wyczyścić, uczciwie wybielić, podłogę naprawić, pomalować ją na kolor ciemnożółty i to farbą, z której, bez szkody dla niej, możnaby zmywać brud. Pokoik ten mi się należy choćby za koszta, które włożę w naprawę domu — a pozatem jako bratu matki i ciotki i waszemu wujowi. Zresztą zapłacę matce z góry komorne na lat kilka i to przynajmniej tyle, co mogliby płacić inni. Stolik, krzesełko itd. sam sobie, przyjechawszy do Szymborza, sprawię.

Pamiętając o tem, że człowiek nie jest świnią nauczyłem się w życiu szanowania i utrzymywania porządku i gardzenia wszelkiem niechlujstwem, dla tego koniecznem jest postawienie — wyłącznie dla mnie — skromnego wychodka z drzwiczkami, zamykanemi na klucz, boć dotychczasowy, jak się przekonałem, jest całkiem niemożliwy.

Proszę Cię bardzo, kochany Stasiu, zrób dokładny kosztorys — bo ja lubię należucie prowadzone rachunki, i napisz mi, ile potrzeba pieniędzy na to wszystko, a ja zadatek odwrotną poszlę Ci pocztą, a całość *w tej chwili*, gdy roboty będę skończone. Gdyby zło konieczne, to oczywiście ureguluję natychmiast od razu.

Chciałbym, aby w domu naszym wyglądało wszystko uczciwie, wyjdzie to wszystkim na zdrowie. Zresztą chciałbym, ażeby i moi znajomi, z których zapewne nie jeden zechce mnie odwiedzić, i żona, która z końcem kuracji przyjedzie po mnie, jak najlepsze odnieśli wrażenie.

Kocyk do nakrycia i potrzebne prześcieradła przywiozę z sobą, bo latem ciężko spać pod pierzyną, której wogóle nie bardzo lubię. Jeżeli będzie potrzeba, kupię sobie i jakieś skromne łóżko, ażeby już było wyłącznie dla mnie, ile razy do Szymborza przyjadę.

Stołować się będę u matki i, oczywiście, będę za to odpowiednio płacił, aby matka żadnych ze mną nie

miała kłopotów. Jadam skromnie i niewiele, więc zbyt wielkich zachodów ze mną mieć nie będą.

Idź natychmiast do Szymborza i załatw to wszystko, abym wiedział, co robić i aby wszystko było na czas.

Szukałem dla Ciebie botaniki Rostafińskiego, ale narazie znaleźć nie mogłem, już wyczerpana. Nie znam też autora pracy o koniferach, sądzę jednak, że się dowiem i książki Ci z sobą przywiozę albo jeżeli mi się uda, to poszlę Ci je pocztą.

Sciskam Ciebie, żonę twą i dzieci bardzo serdecznie, w Szymborzu wszystkich pozdrawiam.

Twój wuj Jan.

Donieś mi też, kto jest dyrektorem solanek i na której mieszka ulicy, bo muszę się z nim porozumieć w sprawie kąpieli.

ALFRED JESIONOWSKI:

ROMAN WILKANOWICZ

Cicho i niemal niespostrzeżenie przeszła śmierć Romana Wilkanowicza w grudniu ubiegłego roku. Spodziewać się należało, że posypią się rozprawki, artykuły lub bodaj obszerniejsze wspomnienia pośmiertne o tym jedynym poecie wielkopolskim czasów wielkiej wojny, doskonałym humoryście, który w kilku przepysznych obrazkach uwiecznił ginące zwyczaje i obyczaje przedmieść poznańskich, utrafiając znakomicie w ton chwaliszewskich „szczunów", obywateli Śródki i Zawad (Wianki — Chrzciny na Zawadach — Karnawał na Chwaliszewie — Niedziele Poznańskie w zbiorkach „Goździem w ślip" — „Tam i nazod"). Ale poza zdawkowemi wzmianki — nic. A przecież Wilkanowicz zasłużył na coś więcej niż krótką notatkę, że już nie żyje. Nie interesuje nas oczywiście bliżej działalność polityczna Wilkanowicza, na którą było można się godzić albo i nie. Ostre docinki „Roślinki" i „Ostu" z Przeglądu Porannego, w którym długi czas pracował, nie stanowią materjału do analizy literackiej i tytułu do sławy i pamięci. Ale też na tem nie kończy się dorobek pisarski Wilkanowicza, który wpierw był poetą nim był został satyrykiem politycznym, pierwej walczył piórem zacięcie i nieubłaganie z Prusakiem — nim ostrze swego dowcipu skierował przeciwko sprawom i zjawiskom, które zwalczał „Przegląd Poranny". Pierwsze i jedyne obszerniejsze studjum napisał zasłużony w propagandzie kultury wielkopolskiej Dr. Stefan Papée, który długi czas razem z Wilkanowiczem pracował w spomnianym dzienniku poznańskim. Na tej też pracy (Kwiaty na ugorze: Roman Wilkanowicz — pieśniarz wielkopolski) oraz na zbiorku wierszy Wilkanowicza, przygotowanym do druku przez Dr. Papée'go (Roman Wilkanowicz — Wybór poezyj — Poznań 1929 Fiszer i Majewski) opieram to wspomnienie o zgasłym pieśniarzu wielkopolskim.

Urodził się jako syn wielkopolanina (który wyemigrował do Kongresówki), dnia 27. lutego 1886 r. w Oporowie (pow. kutnowski). Twarde i ciężkie miał życie i bardzo wcześnie, bo już jako kilkunastoletni chłopak musiał na swoje życie zarabiać. Pracował, jak podaje Papée — jako chłopiec do posyłek, jako robotnik aż następiły lata wędrówek po całej środkowej Europie.



Jan Mroziński „Dziecko miasta" (ol.)
(Z Salonu Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu)

„W okrutną zimę przez gór szczyty,
biegłem pod obce jasne nieba,
niewoli własnej byłem syty...

— — — — — — — — — — — —

Parjasem byłem! — niewolnikiem!
Odpartym od Pańskiego stołu,
Do misy siadać z najemnikiem
Z toporem stać u ostrokołu,
I patrzeć od samego rana,
Jak pies w źrenice swego pana...

— — — — — — — — — — — —

Znają mnie morza, znają góry,
Gdziem ciągnął sieci, bił niedźwiedzie,
Azaliż wiedzą ciche chmury
Gdzie je tęsknota boska wiedzie — ?
(Chryste!)

Szarpała poetą tęsknota za ojczyzną, za wolnością osobistą i narodową. Powrócił w Poznańskie w roku 1903 i zrazu zaczął pracować jako robotnik w fabryce maszyn Cegielskiego. Zwrócił nań uwagę Łebiński, człek znaczny w dziennikarstwie b. dzielnicy pruskiej i zainstalował Wilkanowicza jako dziennikarza w „Wielkopolaninie". Stąd wysłał go Kościelski do Krakowa, gdzie przyszły poeta uporządkował i uzupełnił swoje zaniedbane wykształcenie. Po powrocie z Krakowa zaczął na dobre pracę w dziennikarstwie. Praca na tej niwie miała podobne koleje co praca Wierzbińskiego. Prusaków, jako gnębicieli ludu polskiego, nienawidził z całej duszy i przeciwko nim skierowane było przedewszystkiem pismo jakie Wilkanowicz założył w roku 1913 pt. „Pręgierz". Liczne konfiskaty tego pisma zapewniły mu powodzenie i poparcie rodaków. Przyszła wojna światowa i Wilkanowicz, jak wielu innych, musiał Prusakom służyć. Zdezerterował jednakże po pewnym czasie, i żyjąc na razie w ukryciu pisał pod bokiem władz pruskich przeciwko nim, ustawicznie przypominając rodakom, że walka z prusakiem jest świętym obowiązkiem, że nadejdzie kres cierpień narodowych. Najmocniej i najgoręcej bolało go, że straszna wojna światowa zmusiła Polaków różnych zaborów do walki przeciw sobie, do walki bratobójczej. Temu żalowi daje upust szczególnie w „Elegjach" (Kyrie elejson — Ojcze Nasz — Ave Maria — Chryste!) jak i w „Pieśniach".

„Plamy na ziemi purpurowe
Tu zamordował człowiek brata,
Toporem rozciął całą głowę,
I serce przebił mieczem kata".
(Nad Grobem)

błaga Boga o przebaczenie w imieniu wszystkich tych, których okrutny los do tej strasznej bratobójczej walki zmusił:

Patrz na me czoło — wstyd je pali!
Patrz w piersi — jadu pełne serce!
Żeśmy myśl ludzką zaprzedali
Z braci zmienili się w morderce...

— — — — — — — — — — — —

Bądź nam miłościw Królu morza!
Bądź nam miłościw Królu ziemi!
Niechaj Twa światłość płynie Boża
W Polsce rzekami promiennemi...
(Chryste!)

Ta skarga, ten ból będzie się częściej powtarzał w owych elegjach, pieśniach — któremi poeta zagrzewał podczas wielkiej wojny do wytrwania, powtarzać się będzie prośba korna o koniec tych cierpień, o własną wolną Ojczyznę:

„Skrzydła łopocą ponad głową! —
Już słyszę wieków przyszłych kroki,
W szatę przybrawszy się godową,
Zbliża się czas błękitnooki...

„Powróć nam wolność! —
Dzieciąt pobitych błaga rzesza,
Zhańbionych matek jęczą chóry,
Lud się na krzyża drzewce wiesza"...
(Chryste!)

Dużo serdecznych piosnek śpiewał Wikanowicz dla żołnierzy, o nich — pieśni pełne gorącego współczucia, pieśni wlewające otuchę w serca, zachęcające do wytrwania. Podobnemi pieśniami krzepi zbolałe matki, płaczące dzieci, rozpaczające siostry i narzeczone. „Pieśni żołnierskie" to najlepsza część twórczości poetyckiej Wilkanowicza, jeśli nie liczyć fragmentu poetyckiego p. t. „Król Dawid", gdzie się Wilkanowicz wzniósł do znacznych wyżyn poetyckich. Niestety — największa część dorobku poety i pisarza znajduje się dotąd niezebrana po rozmaitych pismach i dziennikach wielkopolskich. Nie pomogło serdeczne wezwanie Papéego, by przecież zebrać to wszystko, by mieć jasny i wyraźny pogląd na Wilkanowicza poetę, którego właściwie dotąd w całej pełni nie znamy. Trzebaby przeszukać roczniki (1905 — 1919) Kurjera Poznańskiego i innych pism stolicy Wielkopolskiej, w krórych pracował, przeglądnąćby trzeba „Lecha" gnieźnieńskiego, „Dziennika Kujawskiego" w Inowrocławiu i inne prowincjonalne pisma tego czasu. Okazałoby się zapewne, że Wilkanowicz nie jest poetą wielkiej miary, pisarzem pierwszej rangi — ale w każdym razie pisarzem, który na pamięć Wielkopolski zasługuje, który swoją cegiełkę do kultury i odrodzenia narodowego Wielkopolski według najlepszych możności dołożył. Rocznica śmierci poety winna stać się datą ukazania się pełnego obrazu Wilkanowicza człowieka — patrjoty i pisarza.

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

HISTORJA UCIESZNA O TEM, JAK JAŚNIE PAN Z LENARTOWIC CAŁY SZEWCKI CECH W PUKWE NABIŁ?..

(Na motywach ludowych z okolic Pleszewa)

Żyło sobie przed wielu, wielu laty w stołecznem mieście Pleszewie szewczysko biedne i zatabaczone, jak dziadoski nos. Zwało się Maciek Wywlekło.

Mogli go byli przezwać Maćkiem Dratwą, czy Maćkiem Kłębuszkiem, albo innym jakim Kopytkiem, jak to honorowy pleszewski szewc zwać się powinien. — otóż nie! — z dziada pradziada nazwali go Wywlekło.

To też pod tym niezbyt szczęsnem przezwiskiem niezbyt się Panu Wywlekle wlokło to życie na ziemi. Wciąż tylko łatał i łatał na swym szewckim, na trzech nóżkach, stojącym stołeczku, jak łatęda jeden i papudrok, a nie człowiek albo i szewc porządny.

Albo mu to dali kiedy ludzie kawał porządnego buta do roboty?! Już nie pamiętał, kiedy widział cały but na swoim warsztacie. Wszystko ino ciapy i ciapy, stare jako ten świat znoszone papucie i buciska przynosili mu do reparacji, że niech ino ten Pan Bóg broni i Matuchna Przenajświętsza. Jakby się spichnyli na niego, czy co? Wciąż ino lumpy i stare papcie.

Broniło się początkiem szewczysko przed zalewem tego śmieciowego obuwia na swym warsztacie, broniło co sił. Parę razy nawet, kiedy go wzięła biała wściekłość i rozpacz do ostateczności, słowem kiedy go szewcka porwała pasja, brał rozdeptane na wszystkie strony świata ludzkie łapcie i ciskał z śmiertelnem przekleństwem na śmietnik, a sam uciekał do karczmy.

Ale też za to po powrocie dostawał za swoje, oj dostawał! Naklęli go ludziska, nawyzywali od cholery, od ostatnich piekielników, szewckich pijaczyn, czerwonych klubrów, że aż hej!

Nawet jego żona, stale rozmamrane babsko i pierwsza pierduśnica w mieście tyż dychtownie mu w uszy zaczynała drebotać co ino sił miała, a że do tego i bieda piszczeć zaczęła w chałupie na dobre, więc w końcu szewc Wywlekło pokornie uszy stulił, bezdennym smutkiem twarz swą szewcką przyozdobił i w końcu uległ losowi, — stał się szewcem-paterokiem.

Choć tam wprawdzie do cechu jeszcze należeć, należał, to znaczy żadnym niestowarzyszonym partaczem ani „szturarzem" nie był, — to jednak należał do tych najostatniejszych z ostatniego rzędu szewców, o których się pies kulawy nawet nie zapyta i o którym pocichu się mówiło że jest zakałą całego cechu. On jednak, pomimo, że dużo się z nim stowarzyszać nie chciało, ani za majstra go też nie uważało — trzymał się cechu feste, jak ta wsza kożucha. albo ten smark na rękawie, bo wiedział, że inaczej zdechnie, jak ten pies pod płotem.

Bez cechu w dawne lata, człowiek kamienie mógł gryść, a ich nie ugryzł, bo cech w owe czasy był w mieście wszystkiem.

Wyświęcenia z cechu bał się każdy, że aż hej! Gorzej jak śmierci, gorzej jak utraty ręki czy oka, gorzej nawet jak własnej pyskatej żony! Ba, nawet gorzej jak klątwy własnego proboszcza. Tak to mocno ludzie owych czasów o swój cech stojeli.

Kto wyleciał, kogo wyświęcili z cechu, — ten nie miał co się w mieście pokazywać i co robić. Ten był zapowietrzony. Ten był trądem okryty. Ten wyklęty ze wszelkiej społeczności.

Że Maciej Wywlekło siedział cicho, jak mysz pod miotłą i nigdy z żadną starszyzną cechową zadrzeć się nie ośmielił, że szanował ustawy cechowe, — więc w cechu tkwił i swoją szewcką biedę z szewcką pasją klepał!

Aż tu pewnego razu, zdarzył się Wywlekle wypadek, po którym biedny szewczyna aż dwa razy z wielkiej alteracyi umgloł i o mało co chciał sobie powrózkiem żywot swój piekielny skrócić. A to przez to, że go pomimo wszystko starsi wyrzucili z cechu.

A było to tak: — siedzi sobie szewczyna w swojej biednej szewckiej stancyjce przy drzwiach na ulicę otwartych, bo gorąc prażył niemiłosiernie i wybija młoteczkiem hufnale pod parobczańską zelówę, — a tu patrzy! nagle z zaułka ulicy wywlokło się jakieś biedne, parszywe psisko, ki djabeł czy co, — a wetknąwszy łeb kosmaty do wnętrza, przypięło się z całych sił do garnca z klejem, który właśnie stał na wystygnięcie wystawiony we drzwiach stancyjki, a którym z braku śpilorków i dratwy szewc w nędzy wielkiej spawał zelówki swej biednej klienteli.

Gdy tylko zobaczył, że ta parszywa psina, widocznie głodna, znalazła

sobie nawet upodobanie w jego szewckim kleju no i jeszcze do tego się oblizuje ze smakiem, a przedewszystkiem kiedy sobie zdał sprawę że psisko szkaradne wypija mu z garnca całą jego nadzieję zysku i zarobku, — żółć i wątroba przewróciły mu się we wnętrzu. Jak nie sięgnie po twarde kopyto, jak nie kropnie intruza przez łeb tak mocno, że psisko zawyło i miało jeszcze tyla sił, że zdążyło odskoczyć, pobiegło w pijanem jabky zamroczeniu na środek ulicy, wywróciło się nagle łapskami ku górze, zipnęło pewnie ze dwa razy, wywaliło oklejony czerwony jęzor i — zdechło.

Poderwał się ze zydelka szewc, by uprzątnąć psie ścierwo, — a tu w ten moment rejwach się zrobił na całej ulicy. Zleciały się szewce ze wszystkich kramów, odbieżały swych kopyt i zaczęły smętnie kiwać głowami nad zabitym psiną i nad zrozpaczonym Maciejem.

— Na co ci to przyszło chudziaku! Już cię nic nie uratuje ani uchroni — szeptały szewce do Wywlekły.

— Teraz cię już na amen wyświęcą zez cechu! —

— Hycla trzymać nie będziewa! — jazgotały drugie.

Daremnie się szewczyna zaklinał na wszystkie świętości, błagał, prosił, opowiadał jak co było, że jest niewinny. Nie dali mu wiary. — Zabiłeś psa — mówili — to z cechu pójdziesz precz, boć to wstyd wielgachny, by porzomne szewcy z hyclami się bratały! Jeszcze czegu?...

Wyświęciły go też w te pendy z cechu jeszcze tego samego dnia i otrąbiły parchy po wszystkich ulicach miasta, że Maciek Wywlekło — to hycel i rakarz skończony, co z biedy nawet na uliczne pieski się ćpo...

Szewczyna z żałości chodził jak ścięty. Szło mu teraz tak, jakby kto staremu dziadowi tępą, zardzewiałą piłą po kościstem gardle chrępał. Do roboty już nawet teraz nie miał łapci. Wszystko odeń stroniło, ludzie go omijali, odpluwali się odeń, jak od złego ducha. Coś okropnego, co Bogu ducha winny szewc musiał znieść w swem rodzinnem mieście i ścierpieć musiał!

Nie wiele myślący zaczął z ciągotów wielkich łazić po wsiach, by sobie zarobić choć na życie dla siebie, żony i dzieci. Dawali mu tam za zrobienie kulfonów abo pieronów czyli drewnioków la parobków do gnoju, — to okrasy, to sera, to bochen chleba, rozmaicie, jak tam trafiło.

Razu pewnego zaszedł w swej wędrówce też do Lenartowic, wsi położonej niedaleko od miasta.

Dziedzic tej wsi, jaśnie pan bardzo ludzki i szewców lubiący, kazał go sobie zaraz wołać do siebie, więc też i szewc poszedł. Dziedzic łaskawie wypytywał go o wszystko a osobliwie o historję wygnania go z pleszewskiego cechu.

Wywlekło opowiadał długo i szeroko o całej swej nieszczęsnej kalaputrynie z psem piekielnikiem i o tem jak go te lepsze sralabartki z cechu niewinnie wyćpiły i honoru szewieckiego go pozbawiły, za co ogień, wojna i mór wszelki niech na to plemię szydłowskie spadnie!

Tak klął, tak szkalował, tak donderował na to całe pleszewskie tałatajstwo, że jaśnie panu łezki, jako te perełki czyste z ócz się pokulały.

— Poczekaj bracie mój miły — rzekł do szewca — chociaż jesteś tylko majster od pocięgla, a ja pan i dziedzic, to się jednak tobą zaopiekuję, jak ten brat rodzony. Wzruszyła mnie ta twoja niedola i krzywda społeczna, więc od dziś cię biorę pod swoją moc i obronę! Zobaczysz, że te huncwoty, co to z ciebie hycla chciały zrobić, jeszcze cię kiedyś przepraszać będą a wstydzić. Nie trap się bo moja zemsta nad nimi! —

Szewc się ładnie jaśnie panu pokłonił, pokornie podziękował, a obdarowany suto, wrócił z pociechą w sercu i pełnemi tobołkami do domu.

Po kilku dniach Wywlekło wywlókł się kajś z miasta i przepadł bez wieści. Wpadł we wodę, czy co? — mówili do sie ludziska, ale wkrótce słych o nim zaginął, bo ktoby się takim chudziaczkiem i mizeraczyną chciał zajmować. Przecież każdy człek ma dosyć swojej własnej berbeluchy na głowie.

A tu tymczasem po mieście, jak nie huknie wiadomość jak to słońce jasna i pogodna, a w dumę wielką podbijająca cały cech szewiecki stołecznego miasta Pleszewa.

Oto do cechu przypadł z Lenartowic goniec umyślny z wiadomością, że na niedzielę najbliższą lenartowicki dziedzic wydaje wielką ucztę dla całego szewieckiego cechu i wszystkich szewców mocno na nią zaprasza. — To też rejwach się zrobił na miasto całe. Wiadomość lotem błyskawicy poszła po ulicach. Ludzie się dziwowali, co to za czasy jakieś nowe nastały, że Jaśnie Pany bratają się z ludźmi biednymi od dratwy i szydła.

Miasto przestało się dziwić, kiedy w niedzielę po nabożeństwie cały szewcki cech, nadęty i napuszony jako te pawie, z orkiestrą wymaszerował do Lenartowic, ku zielonej zazdrości innych cechów w mieście.

Cały orszak się cieszył na wielką fetę, która łaskotała szewckie podniebienia. — I istotnie uczta była wspaniała. Prawdziwie królewska. Dania szły za daniami, aż biednym cechmistrzom z obżarstwa oczy jak chrabąszczom wyłaziły na wierzch.

Zaś jaśnie pan za pan brat z każdym szewczyną. Podejmował każdego po pańsku, a wina kazał dolewać a pieczenie nowe znosić.

Przy końcu uczty powstał z kszesła swego, cudnie rzeźbionego przez gdańskiego snycerza i rzekł te słowa:

Widzę, że kuchnia moja, wam wszystkim, szanowni cechmistrzowie z pod szewieckiego cechu, niezmiernie przypada do gustu. Bardzo mnie to cieszy, — ale patrzcie jak ja was szanuję, bo oto na waszą cześć kazałem sprowadzić srebrnego zająca z dalekich krajów północnych, — spróbujcie go tylko, bo to dziw nad dziwy, a niech każdy swoją cząstkę całą zje, bo drugi raz w życiu takiej zwierzyny jeść nie będzie, chyba u Pana Boga w raju, gdzie wszystkiego jest pod dostatkiem. —

Skinął na lokajów, a ci zaczęli wnosić dla każdego drogocenne talerzyki z małą kupeczką mięsa w środku. Szewcy jak wilki, z prawdziwie szewcką pasją rzuciły się na oną srebrną pieczeń, nie widząc nawet, że jaśnie panu się jakoś nic nie dostało.

— Czy smaczne? — zapytał dziedzic, gdy zjedli.

— A jakże! — zaczęli społecznie przychwalać, a chlebem doskonały sos wymuskiwać z talerzy.

— Muszę wam powiedzieć — ciągnął dziedzic — że skłamałem przed wami, mówiąc że to pieczeń z srebrnego zająca Nie była to pieczeń nawet z naszego polskiego szaraka, tylko z czegoś innego...

— A z czegoż to? Z czegoż?... zaczęli się dowiadywać a dopytywać troskliwie i niepokoić jakoś dziwnie.

— Oto chcecie wierzyć, to wierzcie, a nie to nie, — ale była to pieczeń z tego parszywego psa, co go kopytem zabił wasz kompan z cechu, a mój serdeczny druh i przyjaciel, Maciej Wywlekło, za co go niesłusznie żeście potępili i jako hycla niewinnie wyrzucili z cechu. Jestem ciekaw co teraz za karę obmyślicie dla siebie? Maciek Wywlekło ino zabił psa, bo go rozeźlił, aleście wy jeszcze większy dyshonor uczynili, boście go zjedli! Będziecie musieli chyba cały cech rozwiązać!...

Tak to kpił sobie z nich nielitościwie dziedzic, a oni jak oniemieli, jak skamienieli ze wstydu siedzieli za stołem i siódme poty z nich biły.

— Na domiar złego dziedzic kazał podnieść zasłonę złocistą, dzielącą sąsiedni pokój i oto wychodzi z niego pięknie, wcale nie po dziadosku przystrojony Maciek Wywlekło, zbliża się do stołu z uśmiechem, klepie poufale po ramieniu starszych cechmistrzów i wita wszystkich wesołem:

— Jak się macie hycle! —

Zasromane szewcy siedziały, jak zmyte. Jakby im kto do stołków portki dratwą poprzyszywał. Oniemieli zupełnie, siedzieli jednak obyczajnie, bo chociaż było widać, że im się szewcka wątroba na wątpiach przewraca, — to jednak siedzieli, jak te chmyry lub myszy pod miotłą, obawiając się wąsatych hajduków, których pełno się kręciło w salonach. Z resztą jakże tu przy jaśnie panu rebelję jakową a rumor podnosić?

Ponieważ co pyszniejszym, aż łzy w oczach stanęły, dziedzic ulitował się ich niedoli i rzekł:

— Jeżeli zgodzicie się naprawić krzywdę, jaką żeście wyrządzili waszemu koledze po fachu a przyjacielowi memu Maćkowi Wywlekle, — to i ja przestanę na zemście mojej i nie rozgłoszę tej całej historji o zjedzonym psie i jakoś tę sprawę załagodzimy. Macie wóz i przewóz! Albo przyjmiecie Maćka z powrotem do cechu albo nie?...

— Oczywiście chętnie, chcąc nie chcąc zgodzić się zgodzili.

Maciek tego jeszcze dnia z honorami wielkiemi w pierwszym szeregu wrócił do miasta i za pieniądze dziedzicowe założył sobie warsztat szewiecki, jak się patrzy, szył teraz tylko same nowe buty i dobrze mu się powodziło aż do końca życia.

Zaś od tego czasu żaden z szewców pleszewskich do dziś dnia za żadne skarby świata na ucztę do jaśnie panów pójść nie chce.

LISTY Z REGJONÓW

Z POZNANIA

Nowy duch w starych murach!

Tytuł powyższy nie jest przypadkowy. Zrodził się, potwarzamy, w czcigodnych murach dwóch przybytków sztuki: Teatru Wielkiego i Teatru Polskiego w Poznaniu. Wre w nich usilna praca nad stworzeniem z tych placówek ośrodków prawdziwej sztuki. Poziom zdobyty zawdzięczać należy wysokiej klasie obu zespołów i ich kierownictwu: w Teatrze Wielkim kierownictwu artystycznemu Dr. Z. Latoszewskiego, a w Teatrze Polskim jego dyrektorom R. Boelkemu i M. Piotrowskiemu.

Byliśmy niedawno świadkami przesilenia w dziedzinie operowej. A teraz,o dziwo, opera działa i to przy dużych kompletach. Jednego trzeba się domagać, a mianowicie, co jeden z krytyków już wysunął: jak najszerszego uwzględnienia produkcji rodzimej; opera L. Kamieńskiego „Damy i Husary" od 2 lat czeka wystawienia.

Teatr Wielki często w wznowieniach oper, korzysta z gościnnych występów. Trubadur z doskonałą Fedyczkowską i młodym jeszcze Wejsisem. Trawiata i Cyganerja z Dębicką. Bal Maskowy z Cywińską i Wolińskim. Rigoletto i Cyrulik Sewilski z subtelnym, lirycznym sopranem nieznanej dotąd Marji Kurenko. Carmen i Tosca z dobrze reklamowanym i dobrym włoskim tenorem Ardellim i z wszechstronną Janowską. Ada Sari z mniejszym sukcesem zaprezentowała się w Trubadurze (laury zbierał tego wieczoru Woliński a także Janowska), zato całe bogactwo swej koloratury dała poznać, niestety w mniejszej liczbie zgromadzonym słuchaczom, w Lakme, w partji tytułowej.

Z pierwszą premjerą, a może lepiej powiedzieć prapremjerą jeżeli o Polskę chodzi, wystąpił zespół operowy dając Mozarta operę komiczną: Cosi fan tutte (Takie one wszystkie...) Było to niewątpliwie wydarzenie. Stronę muzyczną przygotował Dr. Z. Latoszewski, reżyserja spoczywała w rękach p. Janowskiej, a zestrojone z całością dekoracje dał p. Z. Szpingier. Spiewali: Olgina, Hupertowa, Fontanówna, Woliński, Karpacki i Gabryszewski. Całość więc pieczołowicie przygotowana. Jednym z najlepszych występów gościnnych był występ Drabika w roli Eleazara w Zydówce; wysoka klasa głosu zestrajała się z wysoko postawioną grą aktorską, a to rzadko w parze chodzi. Cyrulik Sewilski i Lakme z Olginą, był ciekawym pokazem śpiewu koloraturowego tej wdzięcznej artystki.

Zespół operetkowy czeka także na swoją oceną. Po mało-operetkowej obsadzie Fatinicy i Barona Cygańskiego, przyszła kolej na niezastąpioną w swej roli Fontanównę w Krysi Leśniczance i w Nitouche; humorem dotrzymuje jej zawsze Folański. Trzeba wspomnieć o wysokim poziomie baletu pod kierownictwem Statkiewicza a z Grabowską na czele.

Teatr Polski. Duży zespół tego teatru pracuje na parę zmian. Z nieznanych dotąd poczęści nazwisk wysunęło się kilka na czoło. Nastąpiła segregacja talentów. W Liljanie obok dobrej gry Ziejewskiego i Koronkiewiczówney, do sukcesu przyczyniły się doskonałe dekoracje Szpingiera. Epizody prawie całego zespołu były wykończone. Niebywałym sukcesem cieszyła się krotochwila „On i jego sobowtór" Hennequin'a, głównie dzięki przeróbce inteligentnego aktora komicznego K. Szuberta i jego grze, jak również grze Palińskiego. „Pan Gelhab" Fredry nie chwycił niestety starszej generacji; młodzież zato dopisała W „Fanny" Pagnol'a natomiast wysunął się Szubert, Noskowski i Koronkiewiczówna Lekka komedja „Moja panna mama" Verneuil'a, w przekładzie Wł. Perzyńskiego zaprezentowała doskonałą grę Romana Zawistowskiego Helena Arkawin wyreżyserowała „Panią ze słonecznikiem", tryptyk I. Wojnowicza. P. Brenony i p. Boelke w krótkiej tej sztuce słowiańskiego autora,dali prawdziwy koncert Stary „Dom otwarty" Bałuckiego, w reżyserji R. Zawistowskiego, ściąga tłumy publiczności. Robi to prawdopodobnie nazwisko autora, ale i uzasadniony kredyt zespołu u publiczności. Nie wątpimy, że gdy Dyrekcja zdobędzie publiczność i przyzwyczai ją do odwiedzania teatru, zobaczymy wówczas nietylko zgrabne krotochwile ale i wartościowe sztuki. Doskonały zespół pokona z pewnością największe trudności. J. D.

RECENZJE
pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Janusz Staszewski:

Generał Dominik Dziewanowski

Życiorysy zasłużonych Polaków XVIII i XIX w. Poznań 1933 str. 70.

W cyklu wydawnictw poznańskich, w którym kilka już wyszło biografij Wielkopolan (np Niegolewskiego, Działyńskiego Ign., Sczanieckiej) ukazała się nowa rozprawa młodego badacza historji wojskowej Wielkopolski i regjonu kaliskiego, J. Staszewskiego, przedstawiająca życie jednego z generałów polskich doby napoleońskiej. Dziewanowski, żołnierz z zawodu, życie spędził na służbie, dość często razem prowadząc kampanję z gen. Amilkarem Kosińskim. Obaj oni w r. 1806 operowali w północnej Wielkopolsce i na Pomorzu, po r 1815 zaś Dziewanowski, już wbrew Kosińskiemu i jego próbom, nie radził tworzyć wojska polskiego w W. Ks. Poznańskiem, co było przez pewien czas zamiarem rządu pruskiego.

St. Pomykaj.

KRONIKA

— „Entuzjaści Odrodzenia Kulturalnego Wielkopolski". Pod takim tytułem ogłosił Red Władysław Pańczak w dodatkach literackich: Gazety Warszawskiej, Kurjera Lwowskiego i Głosu Narodu w Krakowie, wywiad z Marjanem Turwidem.

— „Bajki Wielkopolskie i Pomorskie". Pod takim tytułem ukaże się w rb nowe wydanie oryginalnych baśni głośnego bajkopisarza Czesława Kędzierskiego.

— Czcionkami Oficyny Andrzeja Prądzyńskiego, odbito dwa dalsze tomiki Bibljoteki Wici Wielkopolskich, i tak ukazały się: Tom IV Alfonsa Szyperskiego — „GeografjaTalentówWielkopolskich"(skład główny: Księg. św. Wojciecha w Poznaniu) oraz Tom V Stanisława Czernika — „Przyjaźń z ziemią".

— W Nr. 4 Tygodnika „Pion", napotykamy na omówienie 25-tego, „jubileuszowego" zeszytu Wici W.

— Współpracownik nasz prof. A. Szyperski prowadzi „Kącik językowy" w Polskiem Radjo w Poznaniu.

— W dniu 30. XII 1933 odczytał Marjan Turwid przed mikrofonem Polskiego Radja w Poznaniu, cykl wierszy, ze zbioru „Dni Wielkiej Doliny".

— Stanisław Helsztyński wydał u Kuglina w Poznaniu przekład biblijny p. t. „Kohelet".

— „Język Polski" w Krakowie (red prof. Nitsch), nr 6 r 1933, pisze o języku Jakóba Wojciechowskiego na podstawie artykułu tegoż w Wiciach Wlkp

— Antologja Poetów Wielkopolskich. Alfons Szyperski przygotowuje do jednego z dalszych Tomów Bibljoteki Wici Wlkp. wybór utworów poetów wielkopolskich od Klemensa Janickiego aż po dni dzisiejsze.

— Jako Tom VI Bibljoteki Wici Wlkp. ukaże się praca Jerzego Bandrowskiego pt. „O małem miasteczku".

— Teodora Tałuny „Defilada Zbóż" ukaże się również w jednym z dalszych tomików Bibljoteki Wici.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.